ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela 13 maja 1934 r. Nr. 20

Marjan Turwid

Pracownia w Gościeradzu

Zatrzymaliśmy się u rozstajnych dróg. Gdzieś między Bydgoszczą a Koronowem. Samochód stanął zupełnie bezradny. Chwilę jeszcze warczał zirytowany, aż umilkł zauważywszy, ukrytą skromnie między drzewami, ubogą Bożą - mękę.

Trzy drogi mamy do wyboru. Jedna z nich wbiega między szpaler wyniosłych sosen. Szpaler ciągnący się daleko, aż ponoć ku puszczy Tucholskiej. Druga spływa miękko, łagodnie na błękitniejące w dali dno nadbrdziańskiej doliny. Trzecia, niezdecydowanie pokręciwszy się po równem polu, wpada potem prosto w stłoczony tłum krzewów i drzew.

— Któraż z dróg prowadzi do Gościeradza? — pytamy przechodnia.

— Do Gościeradza... — powtarza przechodzień niepewnie i z namysłem.

— A tąk, do Gościeradza. Do dworu profesora Wyczółkowskiego, — dodajemy dla wyjaśnienia.

Twarz zapytanego rozjaśnia się. Teraz już wie.—Do pana Wyczółkowskiego każdy drogę wskaże. I nasz informator uprzejmie wskazuje najgorszą z dróg.

Najgorszą, — nienajgorszą. To tylko szofer pomrukuje z niezadowolenia. Bo droga jest w istocie urocza. Kręta, nierówna, złocąca się głęboko werżniętemi koleinami piasku. Ot, taka szczerze wiejska droga.

Samochód ryknął żałośnie i brnąc w piachu kołysać się począł, jak kuter na nierównej fali. Mimo to, tłum drzew stłoczony w zagajnik, rośnie nieustanne w naszych, wpatrzonych weń, oczach. Rośnie, wyraźnieje, rozdziela się i przeistacza w duży, bogaty park. Zanurzamy się w jego głąb i niespodziewanie stajemy przed małym, bardzo czystym i ogromnie miłym dworkiem.

Pani domu pilnie pracuje w ogródku przed gankiem. Choć zaskoczona niezapowiedzianą wizytą, przecież nie gniewa się na niespodziewanych gości wcale za to, że jej przeszkodzili w robocie. Kłopoce się tylko wielce tem, że to i nieubrana do gości i — czy mąż, coś niezdrów od kilku dni, będzie mógł do nas wyjść.

Kazał nas jednak prosić i nie czekaliśmy nań zbyt długo. Mieliśmy przecież tyle czasu, by móc rozejrzeć się nieco po gościeradzkiej pracowni. Skromna jest pracownia wielkiego artysty. Jakiś stolik, fotel, — na sztalugach rozpoczęta codopiero praca. A na ścianie barwny drzeworyt japoński. Ostatni z wspaniałej kolekcji.

Ten drzeworyt przypomina tak wiele. Te wszystkie lata, przez które Wyczółkowski, z pasją najzawziętszego zbieracza, za cenę swych szczupłych zasobów pieniężnych i wzamian za swe dzieła dochodził do swej imponującej kolekcji. Składały się na nią cuda. A więc: cenny zbiór dywanów, tkanin i modlitewników. Kilimy anatolskie i kaukaskie. Stare aksamity włoskie i jedwabne tkaniny japońskie. Szale perskie, bagdadzkie i francuskie. Makaty i kilimy polskie. Zawierała dalej ta kolekcja zbiór starej ceramiki azjatyckiej i europejskiej. Więc wazony i misy perskie i chińskie. Zawierała cenne szkła kryształowe. Osobną pozycję stanowiły wartościowe meble zabytkowe.

Wśród dzieł sztuki trafiały się pierwszorzędne płótna. Michałowskiego, Pankiewicza... Uzupełniała kolekcję grafika. Wybrane okazy czarno - białej sztuki europejskiej, a nadto prace takich majstrów japońskich, jak Hiroshige i Hokousai. Ten ostatni reprezentowany był aż trzydziestomasześcioma widokami świętej Fudżi.

Z podziwu godną wytrwałością kompletował Wyczółkowski, przez lata całe, swój cenny zbiór. Z podziwu godną ofiarnością, Wyczółkowski, któregoś dnia, lat temu dwanaście, pozbył się swoich umiłowanych skarbów. Z królewskim iście gestem oddał wszystko co zebrał Muzeum Wielkopolskiemu w Poznaniu.

Społeczeństwo wielkopolskie doceniło należycie niezwykłą ofiarę wielkiego artysty. Aby zaś związać Wyczółkowskiego na stałe z regjonem wielkopolskim, poznański Wydział Krajowy ofiarował mu kawał ziemi w Gościeradzu. Ten kawał ziemi, to resztka z dworkiem i parkiem. Z parkiem pełnym pięknych, starych drzew. Pełnym najulubieńszych obecnie modeli artysty.

I oto — dzięki czemu, tu — między Wielkopolską i Pomorzem, odkryliśmy pracownię laureata pierwszej polskiej nagrody plastycznej.

Sąd konkursowy, przyznając nagrodę Leonowi Wyczółkowskiemu, swój najsłuszniejszy wyrok uzasadnił następującem oświadczeniem:

„...Hołd powinny należy się sędziwemu artyście za najwyzszy poziom artystyczny jego dzieł, niesłabnący do dnia dzisiejszego, oraz za olbrzymi dorobek twórczy..."

Otwarły się drzwi pracowni. Sędziwy artysta stanął wśród nas.

Sędziwy? — Uwierzyć trudno, by ten wyniosły, wyprostowany starzec dźwigać już miał na swym grzbiecie ciężar osiemdziesięciu dwu lat. Stoi przed nami jeszcze wyższy wśród niskich ścian gościeradzkiego dworu. Czujnie zmrużone oczy obserwują nas życzliwie poprzez grube ściany szkieł. Znamy dobrze, i to spojrzenie bystre i przenikliwe, i całą twarz modelowaną wyraziście i ostro. Jest zupełnie taka, jak na autoportretach. Gładkie, bez zmarszczek czoło, wybitnie zaakcentowany łuk nosa a zwłaszcza charakterystycznie wysokie osadzone, mocno się uwypuklające kości policzkowe.

Twarz kształtowana wyraziscie i szorstko znamionuje, rzekłbyś, surowość i nieugiętość charakteru. Ale wargi, choć wąskie, mówią zgoła o czem innem. Często i chętnie układają się w miękką i dobrotliwą linję. W takich chwilach szpary oczu rozszerzają się i odkrywają dobre i ufnie patrzące źrenice. Błękitne, łagodne źrenice dziecka.

Teraz wiemy, gdzie szukać nam trzeba tajemnicy niezwykłej młodzieńczości sędziwego malarza i zadziwiającej świeżości jego prac. Oczywiście znakomity mistrz jest, jak zresztą zawsze, mocno niezadowolony z tych swoich ostatnich prac. Pokazuje nam cykl swoich pejzaży gościeradzkich. Wykonał je kredką, i tak, że na pierwszy rzut oka robią wrażenie starych sztychów angielskich. Ekonomja środków plastycznych jest tu doprowadzona do najdalszych dopuszczalnych granic. Ta ekonomja faktury przedziwnie pokrywa się jednak ze skromnością motywu. Krajobraz wielkopolski jest skromny aż do ubóstwa. I nieomal nieodmiennie ten sam: — „Równina nakryta niskim kloszem nieba". — Tusculum Wyczółkowskiego wznosi się wśród równin monotonnych i cichych. Iluż twórców minęło te pola i łąki nie zauważywszy ich nawet. Nawet do artystów z wielkopolskiego wywodzących się regjonu nie przemówił zupełnie krajobraz Wielkich Dolin. Dopiero Wyczółkowski odkrywać począł piękno Wielkopolski, tak, jak przed laty odkrył ukraińskich rybaków, jak niedawno pierwszy pokazał nam skarby Puszczy Tucholskiej.

Prof. L. Wyczółkowski z żoną przed dworkiem w Gościeradzu.

Puszcza Tucholska,—na dźwięk tego słowa rozjaśniają się błękitne oczy malarza. Nie nazbyt daleko od Gościeradza zaczynają się lasy prowadzące w głąb świętych gajów pomorskich borów. Stary mistrz nieraz wędrował ich szlakiem. I docierał do takich ostępów puszczy, takie widział knieje i takie rysował drzewa, że słów mu nie staje na wyrażenie zachwytu. Nie trzeba zresztą słów komuś, kto tyle wyraził kredą, ołówkiem czy tuszem.

Bo nikt tak, jak Wyczółkowski, nie zobaczył dotąd i nie odtworzył drzew. Te sosny, lipy, cisy, buki i grusze, to nie z grubsza w swym charakterze zaledwie zaznaczone typy drzew. Wyczółkowski każde drzewo traktuje indywidualnie. Rzec możnaby, że wykonuje jego portret. Portret ten jednak, acz niezmiernie „podobny", niema nic wspólnego z bezdusznem przepisywaniem z natury. Wyczółkowski w sposób niezwykle subtelny, nieomal niedostrzegalny, interpretuje niesłychanie ściśle zaobserwowaną rzeczywistość. A jest w tej interpretacji coś więcej ponad mistrzowską zdolność „wybierania i „opuszczania", — ponad umiejętność segregowania, rozrzutnie przez naturę rozsypanych form. Jest bezsprzecznie w dziełach Wyczółkowskiego głęboki, a bardzo polski sentyment. Jest, — choć malarz zamaskowuje go pozornym chłodem ścisłej, objektywnej obserwacji, choć skrywa go starannie pod malarskie walory prac. Zapytany o to, który z wielkich plastyków polskich jest mu najbliższy, odpowiedział mi sędziwy mistrz:

— Chełmoński.

I dodał zaraz:

— Chełmoński to bezsprzecznie największy polski malarz.

A więc aż tam, aż u źródeł polskiego romantyzmu w plastyce doszukiwać się trzeba genezy założenia twórczego mistrza „Wyczóła". A dokąd sięga wobec tego drugi biegun plastycznego credo?

Sięga dalej, niż się to nawet powszechnie mniema. Na pytanie, — jak daleko? — niech nam odpowie najdosadniej charakterystyczna opinja laureata państwowej nagrody plastycznej. Przyznaną mu nagrodą Wyczółkowski nie ucieszył się wcale. Naodwrót. Zmartwił się nawet.

— Dlaczego? — zapytałem zdumiony.

— Bo nagroda nie należała mi się zupełnie.

— A komuż w takim razie?

Odparł bez namysłu Wyczółkowski:

— Nagroda należała się przedewszystkiem — Pankiewiczowi.

Od Chełmońskiego do — Pankiewicza, jakaż ogromna rozpiętość skali! Imponujący jest ten szeroki zasiąg spojrzenia. Sędziwy wiek zupełnie nie przytępił wzroku.

Wyczółkowski twórczością swą wciąż wiąże ideały artystycznego „wczoraj" z postulatami plastyki dzisiejszej. Wiąże, choć nie goni za uchwyceniem aktualnego wyrazu konwencjonału piękna. Z wyżyn swego osiemdziesięciodwulecia widział on już nieraz, jak różnorodnie, co kilka lat, bywa formułowany ten konwencjonał. Przeżył niejedną batalję artystyczną. Przeżył, choć sam nigdy nie stawał na barykadach artystycznych rewolucyj, choć nie zabierał głosu wiecach teoretycznych dociekań i gorących dyskusyj. Wyczółkowski nie miał czasu na teoretyzowanie. Nie miał również czasu na działalność pedagogiczną. Zanadto absorbował go jego warsztat. Nierad opuszczał go choćby na chwilę.

Ten swój warsztat, wielki mistrz, przenosi nieustannie z miejsca na miejsce. Jest u siebie, w swej pracowni, wszystko jedno, czy na stepach ukraińskich, czy w kniejach Tucholskiej puszczy. Zawsze tak samo, czy przed pół wiekiem, czy dziś, wpatrzony w cud rzeczywistości, zachwycony nim, — i opowiadający o nim z zapałem, a przecież starannie wybranem i trafnie użytem słowem plastycznem. I oto, w czem jeszcze leży tajemnica niesłychanej świeżości i młodzieńczości sędziwego mistrza. Służy ideałom nieprzeżywającym się nigdy i głosi je szczerze i z tą prostotą, na którą zdobywają się tylko talenty największe.

Ta sama prostota i bezpośredniość, która jest najważniejszą cechą Wyczółkowskiego - twórcy, — ta sama prostota i skromność cehuje Wyczółkowskiego - człowieka.

Kiedy mnie znakomity mistrz oprowadzał po swej gościeradzkiej pracowni i kiedy z miłością mówiło o swoich modelach, o bukach dostojnych i starych, świerkach rozłożystych i sosnach wyniosłych i smukłych, postawiłem mu pytanie:

— A które z tych licznych drzew jest panu profesorowi najmilsze?

— Sosna, — odpowiedział bez wahania Wyczółkowski.

— Sosna?

— Tak, bo jest wyniosła i — skromna.

Kojarzą się wyobrażenia. Patrzę — to na sosnę wyniosłą i skromną, to na kroczącego przedemną wyniosłego a tak skromnego starca. Tacy są do siebie podobni. Tacy oboje piękni.

W tłumie drzew gościeradzkiego parku, sosna, wyrasta wysoko ponad bogatą rozłożystość dębów, ponad wspaniałe korony świerków, ponad bujną fantastyczność kształtu wszystkich innych drzew. Taksamo, ten wyniosły, jak sosna wielki mistrz, wyrasta koroną swej tyloletniej pracy twórczej, ponad tłum cały naszych współczesnych plastyków.

Opuszczając gościeradzką pracownię i żegnając dostojnego starca, pochyliliśmy z głęboką czcią głowy w hołdzie przed człowiekiem, który sztuce polskiej tyle przysporzył skarbów. Na odjezdnem skierowaliśmy jeszcze raz spojrzenie na gościeradzki park. Ujrzeliśmy tłum drzew stopiony półmrokiem wieczoru. Jedna tylko korona sosny wynosiła się wyraźnie ponad najwyższe czuby. I ona jedna tylko stała w słońcu.

Leon Wyczółkowski — Lipa

Leon Wyczółkowski. — Świerk

Jerzy Kuncewicz

Prostota, czy precyzja

Życie jest zaprzeczeniem wszelkiego pewnika. Sztuka i filozofja, jako przejawy twórczego stosunku jednostki do świata, nie znoszą formuł. Zarówno zagadnienie treści, jak i objektywizującej tę treść formy, mogą podlegać próbom rejestracji, nigdy jednak nie podporządkują się receptom społecznym, czy indywidualnym. Okresowe uleganie twórców formalnym przepisom wynika zazwyczaj nietyle z tężyzny, co z osłabienia ducha twórczego.

Jednostka, znajdująca się w stanie zakłóconej równowagi psychofizjologicznej, wynikającej z przesycenia nadmiarem wrażeń, przyswajanych przez gatunek — w akcie twórczym wyładowuje nagromadzone zasoby. Jeśli jednostka ta jest owocem skrzyżowania dwóch odrębnych etnicznie typów, naruszenie stanu równowagi bywa częstsze spowodu zachodzących tu powikłań organicznych. Zdolność koordynacji, będąca wyrazem sprawności organizmu i harmonijnego powiązania jednostki z gromadą, sprawia, iż płody twórczości indywidualnej posiadają formę dostępną dla masy. Jednak różnica poziomu wyrobienia i uświadomienia odbiorców wpływa na powstanie szeregu przepisów formalnych. O ile twórzość istotna ulega panującym w danej epoce przepisom, to obniża ona swój poziom i przestaje być czynnikiem, wnoszącym świeże wartości, a staje się artykułem zbytu dla masy.

Niebezpieczeństwo zagubienia przez twórcę treści subjektywnej na rzecz formy, pokrywającej zdawkowe walory, wzrasta ogromnie w tych dziedzinach, gdzie środkiem wypowiedzenia jest słowo. Słowo, będące symbolem, napełnianym treścią nietylko w zależności od swego miejsca w zdaniu, lecz i od temperatury uczuć, jak również od poziomu umysłowego czytelnika, czy słuchacza — najłatwiej może mylić czujność twórcy. Skłonność do ustępstw na rzecz ewentualnego konsumenta jest tu tem groźniejsza, że znajduje naturalne oparcie we wrodzonej bierności psychiki, która przy poszukiwaniu słów i ich skojarzeń chętnie zadowala się monetą obiegową.

Wszelka mistyfikacja w zakresie twórczości artystycznej i filozoficznej, dzięki płynnej wartości słowa, jest bardzo ułatwiona; rzetelna zaś twórczość spotyka tu większe, niżeli w innych dziedzinach, przeszkody.

Ciężar gatunkowy słowa, zależny od skali zjawisk, zamkniętych w danym symbolu, od jego długowieczności i częstotliwości używania, oddziaływa w sposób niezmiernie silny na technikę pracy pisarskiej. W miarę rozszerzania się kręgu zjawisk, lub istnień, symbolizowanych w danem słowie, zaciera się ich realne wyobrażenie; na jego miejscu zaś zostaje schemat o coraz mniejszej wartości odtwórczej. Stałe używanie danych pojęć w powszechnie przyjętych formach słownych przekreśla ich treść, która nie budzi już w naszej świadomości reakcji bezpośredniej. Stałe powtarzanie się tych samych zjawisk psychicznych również zmienia ich charkter, przekształcając je w odruchy, będące znamionami automatyzmu psychicznego. Żywotność organizacji psychicznej jest uwarunkowana takim stanem układu nerwowego, przy którym wrażenia, otrzymywane jako reakcja na podniety zewnętrzne, wpływają na usprawnienie i rozwój aparatu odbiorczego, co w wypadkach automatyzmu psychologicznego już miejsca mieć nie może. Do świadomości naszej docierają tylko te wrażenia, które w układzie nerwowym są zdolne do wywołania przeobrażeń. Poza świadomością pozostają wszystkie działania zewnętrzne, nadmiernie jednolite i częstotliwe; te są zasadniczo przyjemne lub zupełnie obojętne dla jednostki, podlegającej tego rodzaju działaniu.

Zwracanie w twórczości, operującej słowem, jako narzędziem, bacznej uwagi na wyżej sformułowane fakty, doprowadziłoby do unikania szeregu błędów. Automatyzm psychiczny wyjaśnia wiele przyczyn tak różnorodnego ustosunkowania się czytelników do słowa czytanego.

W świetle powyższych rozważań zarysowuje się przedział pomiędzy literaturą t. zw. popularną a literaturą piękną oraz naukową. Pierwsza, nawet przeciętnemu czytelnikowi, daje tylko przemijające zadowolenie pozorne, druga zaś — nawet od umysłów wyrafinowanych wymaga znacznego wysiłku przy jej asymilacji. W pierwszym wypadku słowo pisane staje się dla odbiorcy namiastką snu, w drugim — środkiem usprawnienia intelektu i uczuciowości.

Różnorodność poziomów i nastawień psychicznych wynika z różnic w doświadczeniach łańcucha filogenetycznego, z nierówności warunków wychowania indywidualnego i sposobu życia gatunku. Szczupły zastęp ludzi o najsilniejszej chłonności i prężności rozwojowej, o największej precyzji spojrzenia rejestruje przemiany, zachodzące tak wewnątrz jednostki, jak i w społeczeństwie oraz wykreśla kierunek tych przemian. Obracając się w masie ludzkiej, żerującej kulturalnie na bliższej lub dalszej przeszłości, przodownicy, którzy pierwsi wkraczają w nowe etapy rozwoju ludzkości, muszą w sygnalizowaniu zachodzących przemian posiłkować się zestawieniem starych symboli w ten sposób, aby mogły one zasugerować nową treść szeregom, jeszcze jej nieodczuwającym. Kolejne podawanie wieści o zdobytym lądzie coraz dalszym kręgom słuchaczy wpływa na zmianę formy orędzia, które stopniowo traci pierwotną wartość. W ten sposób wieść, podawana od czoła pochodu ku jego tyłom, gdy tam wreszcie dotrze, staje się dla czoła dźwiękiem bez znaczenia.

W walce o definicję otaczającego świata i scharakteryzowanie jego właściwości, oraz o uchwycenie zachodzących w nim przemian, słowo — najpowszechniejszy środek konstatacji — stanowi narzędzie nietylko najściślejszego współżycia, lecz i wielkich nieporozumień międzyludzkich. Pośród rozlicznych sposobów uzewnętrzniania się psychiki ludzkiej słowo jest elementem twórczości najmniej plastycznym. Neologizm, wchodzący szybko w krew języka, to okaz bardzo rzadki. Coraz gwałtowniejsze tempo życia, coraz ściślejsze powiązanie interesów jednostkowych, powoduje nietylko zmiany zewnętrzne w sposobie bycia ludzi, lecz i nowe nastawienia psychiczne. To zaś wymaga odrębnych znaków sygnalizacyjnych.

Opór, jaki masa ludzka stawia przy wprowadzaniu w życie świeżego słowa jest niezmiernie silny. Słowo-pojęcie, wchodząc w krew narodu, wytwarza konieczność dla poszczególnej psychiki jednostkowej dokonania wielkiego wysiłku nerwowego. Chroniąc się przed tym wysiłkiem przekłada się omówienia, gdy w grę wchodzi nowa rzeczywistość. Omówienia te zawsze grożą zagubieniem treści w nazbyt rozwlekłym opisie, lub w niezawsze fortunnej metaforze. Większa ścisłość obrazu daje się jednak uzyskać tą drugą metodą, o ile jej użycie zostało podyktowane przez istotną potrzebę.

Metafora, służąca wyłącznie ku ozdobie, jest kuglarstwem i wywoływać musi sprzeciw jednostek, odczuwających potrzebę ścisłego związku pomiędzy treścią a formą. W utworach i pracach genjalnych niema między treścią a formą granicy, w tych bowiem niezmiernie rzadkich wypadkach związek pomiędzy materjałem, pozostającym w dyspozycji autora a środkami uzewnętrznienia, jest tak ścisły, iż forma staje się idealnym odlewem treści.

W warunkach przez nas zanalizowanych czyż można stwarzać formuły, któreby z mocą imperatywu ciążyły nad twórcą? Jeżeli życie — zjawisko tak płynne — ma znajdować wyraz w słowie, czyż pisarz może krępować się jakimkolwiek dogmatem? W różnych epokach powstawały i wygasały modne zalecenia, mające stanowić receptę pracy pisarskiej. Każda taka recepta wypływała z warunków życia społecznego, oraz z panujących w danym czasie prądów myślowych; żadna z nich jednak nie stała się podstawą dla stworzenia dzieła wielkiej sztuki, lub wielkiej myśli.

Okres dekadencji obyczajowej zwyrodnienia smaku, braku perspektywy społecznej, czy historycznej, przypadający w Polsce na epokę saską, kazał w napuszonej frazeologji, w niezrozumiałych makaronizmach widzieć dodatkową okrasę życia garści bezmyślnych wykwintnisiów. Okres wzmożonych prądów demokratycznych na przełomie XVIII i XIX wieku oraz czasy dzisiejsze — w postaci formy, rozszerzającej krąg odbiorców, widzą kanon myśli twórczej. Wszystkie te nakazy, wynikające czy to z powierzchownych tendencyjnych czasów saskich, czy też z troski społecznej (często nawet nieuświadomionej) dni dzisiejszych, ciążą w sposób ujemny na twórczości, dla której jedynem istotnem przykazaniem winno być jaknajdoskonalsze uzewnętrznienie narastającej w jednostkach treści. Przy takiem ujęciu zagadnienia **ideałem stylu** stanie się **nietyle prostota, co precyzja**. Bowiem najściślejsze oddanie słowem treści życia stanowi naczelne zadanie pisarza. Rejestrowanie nowych drgnień w psychikach twórczych pozwala na znalezienie syntezy oraz wytknięcie dalszych linij rozwojowych. Możność rozniecenia na naszym horyzoncie ideałów, nadających się do realizacji, koordynuje i usprawnia wysiłki jednostek. W pochodzie ludzkości myśl, przeobrażona w słowo, nietylko odgrywa rolę spoidła zewnętrznego, ale i — refleksem swoim — żłobi miękką glinę duszy ludzkiej. Zrozumienie tego znaczenia słowa zmusza do wielkiej powściągliwości w jego używaniu.

Oświetlenie problematu imaginacyjnej granicy pomiędzy twórczością typowo intelektualną a artystyczną dopomoże nam do sprecyzowania sposobów podejścia do słowa, jako do materjału technicznego. Twórczość intelektualna w swej formie charakterystycznej jest uzewnętrznieniem wiedzy i doświadczeń w drodze usystematyzowanych przesłanek logicznych. W tego rodzaju pracy słowo jest nastawione na efekt przedewszystkiem swoją stroną pojęciową, z zaniedbaniem walorów rytmicznych, dźwiękowych i obrazowych. Działanie słowa, uszeregowanego w zdania, w pracy ściśle intelektualnej jest przeznaczone do uzyskania kontaktu z bezosobowym odbiorcą, sprawdzającym każdą przesłankę, analizującym jej ścisłość i wartość. Cechą twórczości intelektualnej jest jej powstawanie w warunkach życia społecznie zorganizowanego, a koniecznością — współudział szeregu bezimiennych pracowników. Twórczość ściśle artystyczna natomiast, jako produkt konieczności, wynikającej ze stanu psychicznego jednostki, jest do pomyślenia w oderwaniu od społeczeństwa. Połączenie obydwu metod pracy pisarskiej powinno dawać doskonałe rezultaty, umożliwiając wiązanie treści subjektywnej ze zobjektywizowaną rzeczywistością powszechną.

W twórczości intelektualnej, rozumianej jako syntetyzowanie, lub analizowanie zaobserwowanych i nazywanych zjawisk, potrzeba oddania przy pomocy słowa osiągniętych zdobyczy może sugerować twórcy metody artystyczne; a to w wypadkach przerostu treści subjektywnej, gdy działanie obrazem i dźwiękiem staje się koniecznością. Wyjście ze znanego kręgu w krąg nowych skojarzeń pojęciowych uniemożliwia wszelkie zasady, krępujące uzewnętrznianie zdobytych walorów. Tylko w wypadkach znanych prawd przeżyć lub zdarzeń, tak w zakresie nauk ścisłych, jak i t. zw. beletrystyki, obowiązywać może zasada prostoty, podyktowana wymogami popularyzacji. Prostota w tych dziedzinach, gdzie autor liczy na szeroki krąg odbiorców, lub gdzie rejestruje się zjawiska przebrzmiałe, czy też je przypomina — może być kanonem; i w tym jednak wypadku pokrywającym się zupełnie z jedynie słuszną i żywą zasadą precyzji.

Każda formuła, stająca się nakazem powszechnym, posiada w sobie siłę atrakcyjną, wynikającą z naturalnej inercji umysłu. Myśl, rzucona na fale społeczne, zatacza coraz szersze kręgi i idzie przez nie, chociaż początkowe źródło dawno już zastygło. Źródłem tem jest aktywny stosunek do rzeczywistości, natomiast fala stanowi jego echo — im dalsze od źródła, tem bledsze. Żeby życie ludzkie mogło pulsować — przynajmniej w granicach elity intelektualnej — mocnym rytmem twórczym, należy zdawać sobie sprawę z waloru czynu samodzielnego i ze znaczenia jego ech. Zaklęcie życia w formuły, stanowi żer bierności społecznej i wszechpotężnego próżniactwa.

Andrzej Mikułowski

Czy Anglicy są ludźmi?

Czy Anglicy są ludźmi? A przynajmniej, czy są jak inni ludzie? Takie sensacyjne pytanie rzuca p. G. J. Renier w swojej zabawnej książce p. t. „The English: Are They Human?“ (Tauchnitz 1932). P. Renier spędził w Anglji kilkanaście lat i usiłował udawać Anglika. To mu się nie udało, pomimo usilnych starań i na odjezdnem zostawił swym niegościnnym gospodarzom pamiątkę w postaci książki, w której mówi im, co o nich myśli „prosto w oczy“. Postawa tego poczciwego Holendra, który grożąc paluszkiem prawi morały kolosowi angielskiemu, jest tak zabawna, że książkę czyta się ze szczerem zainteresowaniem.

Cudzoziemiec, przyjeżdżający do Anglji, gubi się odrazu w olbrzymim labiryncie Londynu — pisze p. Renier. — Na straży kolosalnego chaosu domów i ulic stoi niewzruszony, dobroduszny angielski policjant, jak przyjazna wysepka na bezkresnym oceanie. Ale nawet jego obecność nie może uspokoić człowieka, który nie rozumie całego chaosu otaczającego go. „Za nic na świecie nie zamieszkałbym w tym kotle niepokoju“ — mówi sobie cudzoziemiec. I oto przekorny los umieszcza go w nim na stałe, już nie jako zwiedzającego, tylko jako „alien resident“ — obcego mieszkańca Anglji.

I zaczyna się przyzwyczajać. Po pewnym czasie Londyn przestaje być dlań labiryntem — odnajduje w nim londyńczyków, z którymi nawiązuje stosunki. Autobusy przestają być tylko czerwonemi potworami o niezliczonych numerach, płynącemi lawiną przez ulice, a stają się posłusznymi pośrednikami do przebywania przestrzeni. Cudzoziemiec przyzwyczaja się fizycznie, zewnętrznie. Nie może natomiast zasymilować się psychicznie. Początkowo język jest dlań nieprzebytą barjerą ze swojemi — „niepokonanemi trudnościami wymowy“ i brakiem gramatycznych określonych prawideł. A kiedy się go wreszcie opanuje, okazuje się, że to jeszcze gorzej, bo umie się go zbyt dobrze. Anglik poznaje cudzoziemca po tem, że zbyt gramatycznie mówi. P. Renier dziwi się temu zjawisku — dla nas nie jest ono dziwne. „Zbyt dobrą“ polszczyznę słyszymy bardzo często na ulicy i znamy z Naszego Przeglądu.

Przyzwyczajenie się do angielskiego jedzenia, do angielskiego humoru, angielskich form towarzyskich zajmuje cudzoziemcowi wiele czasu i trudu. I wreszcie po latach zdaje mu się, że już niesposób odróżnić go od rodowitego Anglika. Bierze udział w życiu swego otoczenia, bywa u Anglików i żyje sam, jak jeden z nich. Aż wreszcie, kiedy siedząc u jednego ze swoich nowych znajomych przy kominku po obiedzie ośmiela się poruszyć tematy osobiste, będące tabu rozmowy towarzyskiej oficjalnej, ku jego radości gospodarz ożywia się i odrzucając całą swą narodową rezerwę, otwiera swą duszę, zaczynając mówić o sobie. Rozmowa ciągnie się w atmosferze zbliżenia i zażyłości, aż wreszcie czas iść do domu. Anglik skrzętnie zbiera porozkładane strzępki swej indywidualności i zauważa ze zmieszaniem w głosie: „Wy, cudzoziemcy, macie taki dar rozwiązywania ludziom języków“. Czar pryska. Anglik otworzył swą duszę, ale tylko przed cudzoziemcem, tak jak nikt nie krępuje się zdjąć ubrania w obecności papugi. I to właśnie jest punkt wyjścia rozgoryczenia p. Renier. Następne rozdziały są już otwartym atakiem na Anglję, która nie przyjęła jego asymilacji i nie uznała go za równego swym rodzonym synom.

A więc Anglicy wszystko, co angielskie, uważają za najlepsze — nawet swój fatalny klimat. Anglicy mają niezrozumiały kult dla zwierząt i hodują z dużym nakładem kosztów i trudu najszlachetniejsze gatunki psów we wspaniale urządzonych psiarniach, podczas gdy dzieci bezrobotnych giną z głodu. Mało tego. Ci sami Anglicy, którzy uważają za zbrodniarza człowieka, który kopnął psa, kochają się w krwawych polowaniach.

W kwestjach seksualnych Anglicy wyznają jaknajdalej idącą pruderję i powściągliwość i instynkty, które nie mogą znaleźć normalnego zaspokojenia, zbaczają na złe drogi. Anglicy nie lubią ludzi inteligentnych i pogardzają wiedzą, a do wielkiej sztuki mają niechęć. Prawo angielskie jest najokrutniejsze na świecie, zbyt często stosuje karę śmierci i zbyt szybko wymierza sprawiedliwość. Kościół jest tylko instytucją, religijność prawdziwa natomiast nie istnieje.

Największą jednak zbrodnią Anglików jest ich rytualistyczna koncepcja życia i tem różnią się najbardziej od normalnych istot ludzkich. Nietylko w Anglji inteligencja jest w niełasce i nietylko tam jest upadek religijności, ale tylko w Anglji forma panuje nad wszystkiem i ogarnia wszystko, każdy przejaw życia społecznego ma swoją właściwą i jedyną formę. Całe życie jest skrępowane niezliczoną ilością przepisów. Kryterjum postępowania Anglika streszcza się w słowach „tak się nie robi“ i „tak się robi“ i jest to kryterjum jedyne i wystarczające bez względu na indywidualny stosunek człowieka do indywidualnego przedmiotu.

Anglja nie była dawniej taka nienormalna — mówi p. Renier. Dawni Anglicy czcili wiedzę i sztukę, dręczyli zwierzęta, jak przystało normalnemu człowiekowi, byli nawet swego czasu najbardziej rozwiązłym narodem w Europie. I nawet teraz wszystko jest w porządku w niższych klasach społecznych, w ludzie. Również stosunek do zwierząt i do spraw seksualnych jest godny człowieka, a chłopi angielscy, których życie p. Renier „przeniknął — jak mówi — do głębi“, bardzo chętnie czytali „Na zachodzie bez zmian“ Remarque'a i „Historję świata“ Wells'a i zadawali potem inteligentne pytania.

Dlaczego Anglja tak się zmieniła i to w ciągu ostatnich stu lat dopiero? Dokonała tego t. zw. rewolucja przemysłowa, kiedy na arystokratycznie rządzoną Anglję zaczęły napierać od dołu sfery niższe, dochodzące do głosu. Zaszła potrzeba wzniesienia chińskiego muru między klasami i wybudowały go arystokratyczne szkoły średnie, wychowując t. zw. typ gentlemana. Obecnie też Anglicy dzielą się na gentlemanów i nie-gentlemanów. W ten sposób Anglja arystokratyczna została uratowana.

Jaka jest przyszłość Anglji? — pyta w ostatnim rozdziale p. Renier. I z radością stwierdza, że wszystko idzie ku lepszemu. Przedewszystkiem cudzoziemców zaczyna się traktować jak ludzi — konstatuje z ulgą. Toteż w niedługim czasie zaroi się od obcych na wyspie brytyjskiej i oni zrobią z Anglików ludzi, a dopomoże im do tego duch czasu, który polega na buncie przeciwko ustalonym świętościom, rewizji moralności, swobodzie seksualnej, postępie technicznym itd. itd.

I tu ośmielę się sprzeciwić się konkluzji szanownego autora i wystąpić z wnioskiem przeciwnym: jeżeli Anglja zaroi się od cudzoziemców i zatraci swą rytualistyczną koncepcję życia, to będzie to koniec Anglji. Wszystkie inne tezy mogą być słuszne, lub nie, choć zdaniem mojem np. stosunek do zwierząt jest jednym z najlepszych wskaźników kultury człowieka, a wielki rozwój sztuki, i to wielkiej sztuki i wielkiej myśli w epoce wiktorjańskiej, nie dowodziłby upadku intelektu i zmysłu artystycznego u Anglików. Także religijność wzrasta z dniem każdym i katolicyzm głęboki rozwija się z dużą szybkością; wszystko to jednak są sprawy szczegółowe — do dyskusji. Jedna natomiast rzecz jest niewątpliwa: naród może istnieć tak długo, dopóki nie zatraci swego charakteru narodowego, swej odrębności narodowej.

P. Renier patrzy na człowieka z punktu widzenia ogólnoludzkiego, przyrodniczego, abstrakcyjnie logicznego i Bóg wie nie jakiego — prócz narodowego i chce zrozumieć istotę jego życia w najgłębszych i najbardziej normalnych przejawach. Okazuje się jednak, że to niemożliwe. Traktowanie człowieka tylko jako człowieka w oderwaniu od narodu, jest niepodobieństwem. Szczególnie jest to niepodobieństwem w stosunku do Anglji, w której rządy sprawują nie jednostki, tylko charakter narodowy.

Anglja jest tym krajem, który najmniej stosunkowo został dotknięty liberalizmem, otrzymanym przez Europę w spadku po rewolucji francuskiej. Przy skrajnie demokratycznej formie rządzenia z fikcyjną osobą króla na czele, posiada najsilniejszy rząd spośród wszystkich opartych na większości parlamentarnej. Co więcej, posiada najsilniejszy rząd wogóle możliwy, bo siła jego jest trwała — rząd narodowy. Nie faszystowski, ani nacjonalistyczny, ani neonacjonalistyczny, ani socjalistyczny, ani wogóle „istyczny“. Nawet rząd Labour Party, związanej z międzynarodówkami socjalistycznemi, będzie przy obecnych warunkach zawsze rządem narodowym, bo oparty będzie na charakterze narodowym, który obraca wniwecz każdy program, sprzeczny z interesem narodowym. Gladstone powiedział kiedyś w parlamencie w imieniu opozycji, że okupacja angielska w Egipcie jest plamą na honorze narodowym. Kiedy niedługo potem został premjerem, nie wycofał ani jednego żołnierza z Egiptu. Będąc w opozycji był liberałem, będąc u rządów, był Anglikiem. Programy są teorją, i może ich być wiele, praktyka jest jedna tylko — narodowa.

I wszystkie zarzuty, stawiane przez p. Renier Anglikom są oparte tylko na jego własnej zarozumiałości, na niezrozumieniu ducha kultury narodowej. Zabawna jest irytacja tego człowieka, że nie może nawet w ciągu 15 lat przyswoić sobie bogactw, które Anglja zbierała w ciągu lat półtora tysiąca. Dlatego naiwne jest twierdzenie, że Anglik zmienił się tak gruntownie w ciągu lat stu i że dokonało tego świadome wychowanie w kilku szkołach. Cały rytuał życia codziennego tego kraju jest wynikiem kilkunastowiekowego gromadzenia kultury, nieprzerywanego żadnemi wewnętrznemi wojnami. Forma rytuału życia codziennego jest zewnętrznym przejawem jedności narodowej i jednym z głównych jej czynników. Forma sięga tak głęboko, że przestaje poddawać się świadomej analizie. Wyraźnie przejawia się to w języku. Język p. Renier składa się ze słów angielskich, ale nie jest językiem angielskim. Jest to pierwsza rzecz która rzuca się w oczy z chwilą rozpoczęcia czytania książki. Ale dlaczego tak jest, co właśnie jest nieangielskie — niemożliwe jest wykazać. Powiedzieć można jedynie, że „tak się nie pisze“.

P. Renier nie może się zbliżyć do ludzi, wśród których żył przez kilkanaście lat, tembardziej, że gwałtem chce ich zbliżać do innych ludzi, wśród których sam się wychował. Buntuje się przeciwko wszystkim odrębnościom angielskim, chce je naginać do jakiejś fikcji „człowieka normalnego“. I dlatego ciągle czuje, że znajduje się poza nawiasem życia. Zawsze jest „obcy“.

Słowo „człowiek“ nie wystarcza bowiem na określenie Anglika. Anglicy nie są ludźmi. Są Anglikami.

Adolf Nowaczyński

Gelphand, Kalibanow et Comp.

JAKÓB I EZAF

Nakryli teraz w Sowietach dwóch takich literatów sowieckich, którzy wcale brzydko zarabiali na chleb i na sławę. Łapserdaki te Brojde i Ginzburg, Ginzburg i Brojde, Aron i Mojżesz czy też Jakób i Ezaf, wynajęli sobie poprostu dwóch takich słowiańskich murzynów, towarzyszy Ługina i Koszurowa i kazali im pisać, a to powieści, a to byliny, a to nowelki, a to poematy. A co te dwa galerniki wypisywały, to Brojde i Ginzburg puszczali potem w naród pod swojemi nazwiskami: Nuchym Ginzburg i Ozjasz Brojde.

Skorzystali z tego, że oba autochtony poszły na czarną listę spowodu pewnych odchyleń od „generalnej linji". Kiedy rok temu była w Sowietach czystka, to i w literaturze utworzono także taką komisję dla badania życiorysów i światopoglądów literackich. Kolejno musieli się wszyscy meldować i na oficjalnych plenarnych posiedzeniach komisji pod przewodem kamerada Magidowa zdawać sprawę od a do zet, co i jak i czy są z nich literackie propagandowe udarniki. Olbrzymia moc przepadła przy tym egzaminie, p a r e x e m p l e Ivan Batrak, J. Szuwałow, A. Bogdanow, Arkadji Sitkowskij, Zawaliszyn no i zapewne nieszczęsny Ługin i nieszczęsny Lubicz-Koszurow. Może jako alkoholicy, a może jako cierpiący na ataki „wstecznego kanibalizmu", jak Soso (pod wpływem Dalili) nazwał tych, co nie zbyt kochają Chazarów. Dość, że Ługin i Koszurow przepadli, dostali „wołcze bilety", pajoków żadnych, z literatury won, i niech idą pod płot lub na zieloną trawę, to pisać już im nie wolno.

Skorzystali z tego „rozpołożenia" dwóch kolegów literaci Brojde i Ginzburg, i zaproponowali im dostarczanie towaru rękopiśmiennego, który potem szedł w kurs pod firmami Brojde i Ginzburg. Słowiany się zgodziły, bo nie miały wyjścia i odtąd interes zaczął się, a Brojde i Ginzburg zagarniali honorarja i rośli w artyzmie. Dopiero teraz w pierwszych dniach maja proceder ten został zdemaskowany, oba łapserdaki zdegradowane, i wyrzucone ze wszystkich asocjacyj. Jeden z łapserdaków był kiedyś w Polsce i po powrocie do Sowietów wykidał nikczemny paszkwil na białogwardyjskie kontrrewolucyjne państwo („W niewoli u Białopolaków").

Obaj pisatiele nigdy nie byli ani szykanowani, ani karceni przez literackich cenzorów - inkwizytorów Litwakowa i Awerbacha, którzy długie lata rządząc w literaturze tak zajadle prześladowali nieprawomyślnych autochtonów, aż wreszcie wspólnym wysiłkiem całej literatury zostali wreszcie też wyrzuceni na zbity pysk i złamany kark. Obaj pisatiele, tak Brojde jak i Ginzburg nigdy też niczem nie narazili się potężnemu Torkwemadzie Emiljanowi Jarosławskiemu oraz jego prawej ręce kameradowi o przedziwnie symbolicznem nazwisku Kalibanow. I dzięki temu, a głównie dzięki prozapji uprzywilejowanej, grasować mogli sporo lat w ultrakapitalistyczny wampiryczny sposób, profitując z nieszczęsnej sytuacji Ługina i Koszarowa i eksploatując bezlitośnie ich pisarskie talenty.

NEOWAREGOWIE

Można śmiało zaryzykować hipotezę, że gdyby nie ta szczęśliwa dla nich okoliczność, że pochodzą z Neowaregów (to jest z rasy elitarnej), albo już dawno byliby zdemaskowani, albo też teraz odkryci, poszliby na dłuższy czas czy to na Wyspy Sołowieckie, czy też do Łubianki. No i mordyby im skuto przedtem też co się wlezie. Ale należą do Waregów czyli do Neowaregów.

Cóż to zaś są ci neowaregowie o tem pouczał nas swego czasu po surowych „wyborach" styczniowych 1934 nasz ŻAT w specjalnym triumfalnym telegramie:

MOSKWA (ŻAT). Na ogólną liczbę 71 członków w skład nowego komitetu centralnego komunistycznej partji Związku Radzieckiego weszli następujący Żydzi (w liczbie 9-ciu): Łazar Kaganowicz (członek biura politycznego i jeden z trzech sekretarzy partji), jego brat M. Kaganowicz, komisarz spr. zagranicznych M. Litwinow, M. Ruchanowicz (dyrektor kopalń węgla (w Zagłębiu Donieckiem), Henryk Jagoda (członek kolegjum OGPU), J. Jakir (naczelny komendant armji ukraińskiej), J. Jakowlew (komisarz ludowy rolnictwa), J. B. Pamarnik (zastępca Woroszyłowa) oraz Batajewicz (jeden z przywódców komunistycznej partji na Ukrainie).

Śród 6 kandydatów na członków K. C. znajduje się następujących 7 żydów: J. Unszlicht (szef obywatelskiej floty lotniczej), M. Kalmanowicz (szef Uralskiego Zagłębia węglowego), M. Łozowskij (generalny sekretarz zrzeszenia związków). A. Rozengolc (komisarz ludowy dla spraw handlu zagranicznego), S. Szwarc, G. Brojdo i N. Weinberg.

W skład komisji dla kontroli partyjnej, złożonej z 61 członków, weszło 10 żydów.

Ogółem na łączną liczbę 292 członków kierowniczych organów partyjnych Związku radzieckiego jest blisko 40 żydów.

Czterdziestu (40) na 292 (dwieście dziewięćdziesiąt dwa), jest to procent imponująco wspaniały, jeżeli się weźmie pod uwagę, że Związek Republik Radzieckich liczy obecnie do 170 miljonów ludności, na co Chazarów, jak to mówią, czyli współwyznawców Brojdego i Ginzburga jest zaledwie 2 miljony 600 tysięcy. Wobec więc wyżej przytoczonego (przez Żata) stosunku liczbowego e p i t e t o n o r n a n s: Waregowie czy Neowaregowie okazuje się do pewnego stopnia trafne i aktualne.

POGROMCA NIEBA

W nazwiskach atoli wyżej wymienionych dostojników i dygnitarzy, jak to można było odrazu zauważyć, brakuje jeszcze bardzo wielu bardzo znanych i zasłużonych, z których na specjalne wyróżnienie i omówienie zasługuje tym razem najspecjalniej „S o k r u s z y t i e l N i e b i e s" po naszemu „Pogromca Nieba" Emilian Jarosławskij z domu Gelphand, wielki hetman, wódz, względnie herszt pięć miljonów liczącej organizacji bezbożników głównowierch, generalissimus bezbożników.

Jemu to musimy właśnie teraz poświęcić kilka ciepłych, względnie gorących słów uznania, analizy i syntezy.

W swoich wspomnieniach z Rosji radzieckiej kapitan Lepecki (K. Poranny nr. 279, 8 paźdz 1933):

„Bolszewicy nie prześladują bynajmniej religji, nie zabraniają nikomu jej wyznawać. Są za inteligentni, aby w tych sprawach stosować przemoc. Jedynym gwałtem, legalnym zresztą, jest obciążenie cerkwi nadmiernemi podatkami".

Otóż z tym poglądem naszego globetrotera zgodzić się w żaden sposób się nie godzi. Rzeczywistość przedstawia się całkiem inaczej. Istnieje o tem obszerna literatura we wszystkich językach sporo tomów licząca.

PIĘCIOLATKA BEZBOŻNICZA

Pierwszego maja r. 1932 wyszedł oficjalny dekret o pięciolatce bezbożniczej, w którym podane są nawet ścisłe terminy: do 1-go maja r. 1934 zlikwidowane być miały wszystkie świątynie wszystkich wyznań, sekt i „stowarzyszeń cerkiewnych", a do 1-szego maja r. 1937 miało być ze wszyskich druków, książek, napisów etc. wykreślone raz na zawsze słowo: Bóg. Religja to opjum Towarzysz Kalibanow, prawa ręka szefa inkwizycji antyreligijnej Gelphanda, mówił na XV-tym zjeździe W. K. P.

„Gniazda kultu i bałwochwalstwa zamienimy na ogniska komunistycznego samokształcenia. Miejsca popa, księdza, rabina zajmie nauczyciel. Wiek bezmyślnych szamanów skończony. Gadulstwa poposkiego nikt już nie zniesie".

Tenże sam Kalibanow w 10-ym numerze „Woinstwojuszczego Bezbożnika" (a n t i e c c l e s i a m i l i t a n s) obwieszczał:

„Piatiletka bezbożnictwa będzie miała dla scementowania Związku Sowieckiego i stworzenia nowych kadrów komunistycznych większe znaczenie aniżeli Magnitogorski Turk-Siby".

Część tego programu na wielką skalę zakreślonego już do pewnego stopnia zrealizowano. Ludzie Gelphanda i Kalibanowa (trzeba im to przyznać) pracowali przez te lata bardzo intensywnie i ekspansywnie, coprawda ograniczając swoją akcję likwidacyjną tylko do kręgu głównych „sekt" chrześcijańskich, to jest do prawosławia i katolicyzmu n i e t y k a j ą c... s z a m a n ó w, n i e b u r z ą c m e c z e t ó w, ani pagod. Nie dawniej jak 8-mego maja zamknięto jedną z najstarszych, z najstarożytniejszych cerkwi, to jest sobór Św. Zofji w Kijowie, gdzie się cdbywały i w ukraińskim języku „obrzędy", a gdzie odtąd będą rezydować władze rolnicze głodującej tragicznie Ukrainy. Przedtem zamknięto słynną, prastarą Ławrę Peczerską. Równocześnie zamknął Gelphand Jarosławski prastary klasztor i kościół Karmelitów w Berdyczowie, „Ukraińską Częstochowę", umiłowaną przez Konfederatów Barskich, wielokrotnie przez Słowackiego wspominaną. W Moskwie z 44 (sorok sorokow) cerkwi zostało ledwie siedem, przyczem jednak z b u r z o n o tak stare zabytki jak „Iweryjską kaplicę", „Spas na Boru", a na miejscu też zburzonego Spasitiela stanie przyszła „Wieża Babel", jak ją zgóry już nazwał lud moskiewski. W Leningradzie pozamieniano stare sobory właśnie na Muzea Antyreligijne, ściśle wedle dyspozycji i planu towarzysza Jarosławskiego (Gelphanda).

DOMY CUDÓW

Są także takie „Domy Cudów", rodzaj panopticów technicznych naukowo reprodukujące i wyszydzające legendy o świętych. I teatry są z ateistycznym wyłącznie repertuarem, dwa w Leningradzie, jeden w Moskwie. Filmów bluźnierczych i szyderczych moc. W szkołach takie wieczorynki dla dzieci z pokazami antychrześcijańskiemi (i bułki z kiełbasą). A w starych cierkiewkach stołowki (restauranty) i kina...

A dwa razy na rok to Gelphand z Kalibanowem i ekipą, czy elitą Lejzorków Rojtszwanców wpadają w istne paroksyzmy energji antychrześcijańskiej. Systematycznie dwa razy na rok. Przy Bożem Narodzeniu i na Wielkanoc. A to nie wolno choinek sprzedawać, a to nie śmią dzwonić ostatnie dzwony. Ferje młodzieży nazywają się „zimowe", broń Boże, „Bożego Narodzenia". Wszystkie udarniki bezbożnictwa są zmobilizowane. „Sokruszytiel Niebies" dyryguje całą ofenzywą jak admirał Inferna z kapitańskiego statku. Kalibanow z prawej strony. Tysiąc artystów maluje afisze. Drukarnie tłoczą ulotki i pisemka. Ulicami idą takie pochody, procesje bezbożnicze z transperentami bluźnierczemi, w które to bachanalja, gdy Gelphand chciał wciągnąć i żołnierzy, mocny wódz naczelny armji sowieckiej, Woroszyłow, to sobie ostro wyprosił i w tych słowach wymówił:

„Dlatego ja, w imieniu całej czerwonej armji, kategorycznie protestuję przeciw organizowaniu napadów i przeszkadzaniu w nabożeństwach i żądam, aby tam, gdzie kwateruje armja czerwona, żadni Jarosławscy nie urządzali swych „Pietruszek" (procesyj wyszydzających religję).

Właśnie na dzień Bożego Narodzenia i na dzień Zmatwychwstania wszyscy pracownicy muszą się normalnie stawiać do warsztatów, maszyn, traktorów, elewatorów, turbin... Właśnie tego dnia zwolnione szkoły taszczą do „Domu Cudów", „Muzeów Cerkiewnych", na filmy bluźniercze, na prelekcje tysiąca współwyznawczyń Dalili Kaganowicz: „Jak Bóg wieś elektryzuje (pioruny, pożar), a jak nasze Sowiety". Właśnie wtedy otwierają wystawę sowieckiego Matejki czy Kossaka rewolucji październikowej, archisuperkiczarza niejakiego Izaaka Brodskiego (kawaler orderu Lenina), który co miesiąc kończy jeden kilometrowy knot z ulicznemi bataljonami i nawaleniem czerwonej farby.

Pisatiele a la Brojde i a la Ginzburg wygłaszają na placach publicznych długie kazania o tem, że Bóg to fikcja burżuazji (i białogwardyjców), a religje to opium narkotyk, to kokaina!... (można też dostać w narożnej aptece Efroima Ginzburga, Maratski-Piereułok nr. 7).

I TAK CORocznie...

I tak corocznie dwa razy na rok męczy się i zamęcza i pracuje w czoła pocie banda Gelphanda przy pomocy młodych Leizorków Rojtszwanców. Piąty czy szósty rok oświecają i cywilizują tych Słowian „głowotiapów" i tych kułaków i tych kołtuniastych matołów, wszędzie na miejsce... i k o n ó w podstawiając im pod nosy g r a f i k o n y i cyfry, i obrazki, i stiengazetki, i statystyki! statystyki, statystyki. Piąty czy szósty rok wyją megafony uliczne wulgarne bluźnierstwa w masy, a ostatnie wybiedzone, wynędzniałe popy - szkielety idą sku te na Sołowki, od nich popowkami zwane, a „genjalny" Sobelsohn może sobie już pisywać triumfalnie: „wreszcie kościoły walą się w gruzy, a cerkwie zamieniają nam na zakłady socjalne".

No, a jakie teraz rezultaty?

Wiedeńska żydowska „Neue Freie Presse", po ubiegłych ostatnich Świętach Wielkanocnych dała o tem szerokie sprawozdanie. Dodając do niego szczegóły z innych artykułów i korespondencyj w europejskiej prasie można sobie już wyrobić wyobrażenie, czego dotychczas dokazała banda Gelphanda i legion młodych bezbożników Calibanowa et Comp.

„Sokruszytiel Niebies" się skarży. Nie jest tak dobrze! Siedemnaście lat walczą z widmem Chrystusa, a rezultaty jeszcze niezadawalające. Metafizycznych głodów czy „apetytów" wykorzenić się tak łatwo nie da. Kulactwo takie niby materjalistyczne a ciągle ma antymaterjalistyczne zapędy. Tu i owdzie „zastraszający wzrost religjanckiego ogłupienia". Cała nadzieja w młodzieży, w awangardach. Dzieciom teraz ułożyli taki alfabet, takie „azbuki", gdzie przy każdej literze obrazek i bluźnierstwo. Wybili w miljonach miljonów. Może to wreszcie pomoże? 60 proc. robotników w związkach zawodowych „ulega religijnemu kretynizmowi". Po wsiach tylko 3 proc. rzetelnych ateistów. Reszta się maskuje i pod cerkwie załazi i dzieci chrzci i śluby biorą prachwosty!

Na Wielkanoc dzwony cerkiewne tu i owdzie cicho dzwoniły. W Moskwie mało, bo tylko siedem cerkwi zostało. Ale m a c e w tym roku po raz pierwszy i wszędzie wypiekać i wszędzie sprzedawać było w Moskwie wolno. Wpłynęli na to Kałmonowicze i Kaganowicze. I Kalibanow zmiękł. I Gelphand pozwolił. Widzieli więc autochtoni naocznie, jakie to „Waregowie" przywileje mają, więc mruczeli rugali i zaciskali pięści, jak piszą korespondenci. A na Białorusi, to nawet do Krożańskich scen doszło. W Barwiszczach kaplica z Cudowną Matką Boską od wieków a Gelphandowcy zniszczyli i spalili. Rozruchy wraz się zaczęły i bezbożnikom sprano mordy i połamano gnatów sporo. Przeszło stu religjantów i religjantek aresztowano, ale z Moskwy przyszły telefony, żeby dać spokój i delikatnie.

W KATAKUMBY

Więc kamerad Gelphand „Jarosławski", „Emiljan" się skarży. Tak dobrze to nie jest. Na 170.000.000 ludności można śmiało liczyć, że 100 miljonów jeszcze jest wierzących w różne takie religje i wymysły i w Buddę i w Mahometa i rozmaicie. No a z chrześcijanami, to rzecz najtrudniejsza: specjalna! Z a c z y n a j ą s c h o d z i ć w k a t a k u m b y! W katakumby zaczynają schodzić prawosławni! Po domach, po kwatirach się modlą. Schodzą się tajnie i czytają religjanckie drobnomieszczańskie stare książki! Nawet tak zwane inteligenty, po nocach, konspiracyjnie! Czyste chyba warjactwo? Coby na to w Warszawie powiedzieli Spasowskij i Rzymowskij? Że zakazane, więc im pachnie i smakuje i nęci i fascynuje. Nawet tajny handel dewocjonaljami już się zaczął. A w Muzeach Bezbożniczych nie wstydzą się żegnać przed staremi ikonami, gdy tylko czrezwyczajni szpiedzy nie widzą... I to wszystko, wszystko tam! Tam: quand I z r a e l e s t r o i.

Książkę nawet napisał Emiljan Jarosławskij (Gelphand) pod tytułem: „Walka z religją w nowej piatiletce". I robi co tylko może, żeby Boga z Sowietów wypędzić a potem po chrześcijanach wziąć się i do Buddy i do Mahometa i do lamanów i do szamanów i do bonzów. Ale łatwo to nie idzie „Sokruszytielowi Niebies". No i kto tam wie, czy będzie długo popasał, czy nie przyjdzie mu kiedyś pojechać w dalsze okolice. Bardzo tam z jego „Pietruszek" na Kremlu pono zadowoleni nie są. Amerykanie delikatnie doradzali: g o t o h e l l (paszoł won!). Ale jednak jeszcze się trzyma. I Kalibanow prawa ręka „Pogromcy Niebios" także. Tylko się skarżą, skarżą oba niebożątka-oczajdusze, że „Chrześcijanie schodzą w katakumby"...

Nie na długo, nie na długo „Sokruszytielu Niebies"!

Andrzej Ruszkowski

„Heroizm" grzechu na ekranie

Przemysłem, — w oczach ogółu uchodzącym za czysto artystyczny, w rzeczywistości jednak zupełnie podległym interesom materjalnym dobrze namacalnym, choć niezawsze uchwytnym, — jest film. Wymagający wielkich nakładów finansowych, popada w niewolę goniącego tylko za zyskiem kapitału. Nieliczne wyjątki potwierdzają regułę, że naczelnym i jedynym drogowskazem wytwórców filmowych jest możliwość zysku. Opłacił się Y-kowi film o Maroku? Już X, Z i inni walą filmy o Maroku. „Poszli" p. Piernikowi gangsterzy? Kręci gangsterów p. Wiatrak. Potem znów dziesięciu królów nam ukażą, potem dwadzieścia szpitali (właśnie Bolesławski zmontował już „Men in White" — „Ludzi w bieli").

Pochodzenie i kultura niektórych magnatów ekranu bywały dość... hm... niewyjaśnione. Ich gusty? Różne... A więc i sąd o gustach publiczności... specyficzny. W dobie powojennego powrotu do natury... zwierzęcej, sąd ten bywał nawet niekiedy trafny. Ergo: roiło się na ekranie od bandytów, morderców, śmiechotwornych wamp'ów, haremowych igraszek, wiarołomców, kabaretów, złodziejskich melin, czarnych masek, gigolaków, sutenerów, paserów, duserów, wybujanych intryg pałacowych, zdrad, garsonjer, andrusów, wisusów, całusów i innych „rozkoszy tego świata".

Byle matołek widział i wiedział, w takich razach, z czem ma przyjemność. Jeśli naturze jego odpowiadało błotko — pluskał się w niem, radośnie kwicząc. Jeśli nie — omijał je lub przeskakiwał. I — o zgrozo! — okazało się, że jednak większość jest tych omijających, że rzesza cię już nie słucha, producencie zgniłej bzdury, że pragnie przynajmniej podczas dwugodzinnego pobytu w krainie czarno - białych marzeń przenieść się w świat piękniejszy i... lepszy. Spostrzegłeś wtedy, że jeśli tak dalej pójdzie — kina zamienią się w kluby zbrodniarzy, degeneratów i erotomanów — a tej klienteli jednak nie wystarczy dla zapełnienia kasy.

Stała się tedy ciekawa przemiana. W ostatnich czasach znikły prawie sceny „gorszące", znikł zalew kryminału, najdrażliwsze momenty podawane są dyskretnie (nie dotyczy to, niestety, niektórych arcydzieł — krajowych); coraz częściej widzimy natomiast poświęcenie, miłość, ofiarność, ba — do bohaterstwa niemal posunięte wyrzeczenie się siebie. Ale przyjrzyjmy się bliżej owym cnotom, wyciskającym z oczu uświadomionych zarówno, jak swawolnych pań gorzki sok łez, budzącym zachwyt i... współczucie najpoczciwszych publikanów t. j. członków publiczności.

Czyż cnota owych filmów nie miesza się dziwnie z leżącym u jej podstawy — grzechem?...

Żądacie przykładów? — Kilka, jeśli nie kilkanaście filmów ostatnich lat wyliczą wam kinomani, opiewających — bohaterstwo nieślubnej matki. Uwiedziona niewinna dziewczyna, nędza, hańba — potem ona z całem poświęceniem i zaparciem się siebie pracuje dla dziecka, wychowuje itd. — oto szablon. Czyż nie wczoraj zaledwie wyświetlano: „Zaledwie wczoraj" z uroczą Margaret Sullivan w tej dziwnej roli? Wszystko to bardzo piękne i wzruszające, ale przepraszam, czy panienka przypadkiem nie sama winna tym okropnościom losu? Czy tak bardzo bezsennowne jest wymaganie, stawiane kobiecie, aby raczyła być czemś więcej, niż laleczką, poruszaną za naciśnięciem guzika: „Zmysły"? — Aby zechciała zaczekać chwilę — do ślubu?... Otóż widocznie są to przesądy, bo pan Ekran właśnie owe „pochopne" panie vel panny otacza niemal aureolą świętości i męczeństwa, godnego naśladowania. Sądzićby można z jego opowieści, że tylko nieślubne matki mają monopol bohaterstwa, że wśród prawych nie znalazłbyś przykładów poświęcenia równie wielkiego, a cóż mówić dopiero o większem! Czy pan, aby nie potrzebuje się mylić, p. Ekran?

Kiedyindziej apoteozuje się znów — zdradę małżeńską. Ona: piękna i młoda, „głodna życia". Mąż: podstarzały tyran, głupi, zazdrosny, nieczuły. Ten trzeci: wzrok ognisty, budowa Apollina, mięśnie (wszystkie!) — jak stal, tańczy upajająco, romantyczna istota, o prozę pracy nie dba. A więc...? Patrzcie, ile tu bohaterstwa! Zdarza się nawet, że nie przy pierwszej okazji ona ulega temu trzeciemu; ba, zdarza się, że myśl o zdradzanym mężu sprawia jej ból... Biedactwo! — Szczytem moralności jest tu dla p. Ekrana usunięcie konfliktu przez — uśmiercenie męża ku uciesze widzów, poczem „happy end" — parka na jego grobie.

Podobne sytuacje bywają jedną z okazji do apoteozy — samobójstwa. Szlachetny mąż, aby nie stać na drodze szczęścia kochanej bez wzajemności małżonki — pozbawia się życia (— patrzcie mężczyźni, i tak można uszczęśliwić waszą ukochaną! —). Bohaterstwo samobójstwa zjawia się i w innych kombinacjach scenarjuszy, jako idealny sposób załatwiania pewnych zawiłych spraw.

Czy nie pamięta każdy z Was przynajmniej kilku filmowych bandytów o wielkiem sercu, nieustraszonych w boju, a łagodnych i rycerskich wobec słabszych i biednych? Każą nam przecie patrzeć na nich niemal, jak na organy wymiaru swoistej sprawiedliwości!...

Wszystkie te misterne pułapki na etyczną reakcję widza zastawione są umiejętnie, z całym arsenałem cudownych środków, jakiemi rozporządza już dziś najbardziej nowoczesna ze sztuk — kinematografja. Zanim środków tych jakaś błogosławiona ręka nie użyje dla celów mniej zdradliwych a bardziej przekonywujących, ustosunkujmy się do tych wszystkich dramatów dobrotliwie, jak rodzice, — współczujący wprawdzie „cierpieniu" małego bąka, który coś przeskrobał i przytem się sparzył, lecz z całym spokojem — wymierzający mu sprawiedliwość.

Niejednej pańskiej bohaterce i niejednemu bohaterowi, panie Ekran, przydałoby się, — i to w ich własnym zarówno jak swoim intresie — skórobicie.

Wincenty Burek

Podymne

Już się rozbrzyzdżył dzień niemrawą zimową światłością. I zaczął się zwyczajnie rozsnuwać pod płowym nalotem nieruchawych rzadkich chmur. Dzień markotny i senny, ciężki wsiowy dzień w zimie.

Na zaraniu mróz nie zelżał ni kapki, ale jakby nikiej mocniejszy się zrobił w uścisku i ciętszy. Piekący ziąb przywarł do wybielałego świata i nakrył sobą pola, doły, drogi,. wieś. Wieś się stuliła, chałupy jakby przysiadły jeszcze więcej w przyciesiach, chałupy zwarły się w sobie kwadratami ścian i nagotowiły na opór przed ziąbem. Ogacone ściany, drzwi utkane słomianemi warkoczami bronią usilnie i nie dają dostępu mrozowi. A w chałupach zwały pierzyn, zwity ciepłego ogarnięcia, słodki par piecowisk i cygańków...

Tylko jedna chałupa wyosobniła się od reszty. Do obrony przed zimą nie przysposobiła się wcale. Jak podskubajka stała pośród szeregu nieopatrzona i sieroca. Cienka obszarpana strzecha na niej, a poniżej wypuczają się ściany powyginane, spróchniałe, żadnem zatuleniem nie okryte. Drzwi ledwie się dyndają, w futrynach, drzwi całe w łatach i dziurach naprzestrzał, okna wpojeden całe w soplach i białym mchu na maluśkich szybkach. Nie, ta chałupa — to czyste kpiny z siły zimy i mrozu.

Chałupa Pietrka Ćmolacha. Ocińskiego wyrobnika, co mu jest najgorzej ze wszystkich tutaj na wsi. Tego czasami młocka, w lecie trochę kosiarza, jeszcze ta wkiejniewkiej kamieniotłuka przy szosie — i już nic więcej. Co ma ze dwieście złotych rocznego przybytku, troje drobiazgu przychowku i ślepą siostrę na utrzymaniu. A na razem sześć gąb do przeżywienia przez ten długi, długachny, jakże nieprzebyty rok. To chałupa nie może już być inaksza. Chałupa przyłożyć się musi do sposobu swego pana. Jej prawo.

Na zaraniu mróz parzy i dobrze każdemu stworzeniu być za ciepłą ścianą. Dobrze jest głowie wychynąć spod wygrzanej pościeli i pomyśleć, że ogień pod blachą zaraz się rozfigluje bucząco i warza pochętna ucieszy ci wnątrze ciepłem, smakiem, życiem. Nie groźny mróz trzaskający wtedy. Najstraszniejsza zima w takim sposobie jest roześmiana na pysku.

— Pietrek!

— Pietrek! Wstoń! — Ćmolaszyna nachyla się z szeptem do ucha chłopa, żeby dziecek nie pobudzić. — Już hola na dzień.

Po chałupie jakgdyby wiatry chodziły na przegon. Szedź oblepia klamkę u drzwi, haczyki u okien wygrubiały od białej tuleji, woda w wiadrze szkli się szybką lodu. Po sczerniałych ścianach wloką się zgóry nadół ciemniejsze pasma: zastygłe smużki skroplonej wczorajszej pary. Przejmująca świądziel, swąd i zaduch wpierają się w zlodowaciałe ściany.

— Dokodze bedzies doligoł! — Pietrkowa szarpie chłopa za ramię. Sama cała w dygotce ziąbu, choć zdążyła już nakłaść na siebie tyle barchan i podwdziwek, że wygląda jak mamuna. Zaczyna tupać nogami w grubych krajczakach i zabija ręce, ino dudni głucho po chałupie. Z rozchylonych ust leci kłąb parv i rozwiewa się daleko.

Pietrek przecknął się znienacka. Z niejasnych oparów snu nadleciała mu myśl, jakaś dziwna myśl - zmora, że przecie nie powinno być tak, jak mu jest teraz, o, teraz kiedy se leży w łóżku. Nigdy mu nie było tak źle. W całem ciele czuje tylko mróz, do samego śpiku wsysa się mróz i trzęsie gnatami i rwie, kluje tysiącem szpilek.

— Czemu takie zimno? — mamle zsiwiałemi wargami.

Powieki unoszą się zwolna, oczy przytomnieją — i nagle jakby go kto warem oblał. Zerwał się z posłania i już myśl - zmora wyjawiła się w całej prawdzie. „To tak, przecie to tak" — kotwasi się prawda i nawleka się na ostry kolec przypomnienia. „No juści tak".

Pierzynki niema. Poduszki pod głową — też. Wczoraj były i grzały, a dzisiaj ich tu nie uświadczy. Niema ich gdzie być powinny, a zamiast nich zwija się kłębek wytartych łachów i rozwisa na całem łóżku. Łach — to łach, ciepła nie przyczyni, zimna nie odgoni.

Struta gorycz podpełzła Pietrkowi do gardła. W sercu zakwitł ból nie do strzymania. Wspomnienie wczorajszego dnia rzuciło mu się przed oczy jak wściekły pies i zaczęło kąsać i rozrywać do żywego. W głowie nic ino to jedno...

— Sprawiedliwość, nima ji, nie było i nie bedzie — cisnął te słowa na izbę. Odleciała go chęć, żeby wyleźć opod derki i już wstać. Niema poco i do czego. Zwalił głowę na zwitek chabów u wezgłowia i tak leżał i wzdychał. Pietrkowa uwijała się wedle komina, naczyniła ognia od zapałki przekrajanej na pół, chuchała w cienkie wierzbowe patyczki, wstawiała wodę na barszcz z solą. I jeszcze coraz to nukała chłopa:

— A wylegnijze sie juz przecie. Do miasta trza ci iść o te fanty.

Właśnie te fanty stały Pietrkowi na oczach. Te pierzynki i poduszki zabrał wczoraj zakucznik za fant. Zabrał zakucznik z chałupy, bo Pietrek podatku już tyli czas nie płaci. Chałupę ma, podymne na jego imię stoi, a on o płaceniu ani nie zbyli. Tyle razy już się mu nasyłało wezwania, napomnienia, kupę papierów ta sprawa, zepsuła nadaremno, porządek w tych papierach przez niego się popsuł — a on nic se nie myśli. To wczoraj zakucznik wpadł z sołtysem do Pietrków, na klątwy, darcia i płacz nie zważył, ino rzeczy zajął i zawiózł do gminy. Jak Pietrek na czas tego nie wykupi, to pójdzie toto na licytację. Że tam żydy za psi grosz Pietrkowe dobra nabędą, to już jego, zakucznika, głowa o to boleć nie będzie. Sam-eś se winien, głupi chłopie. Trzeba płacić, co prawo święte przykazuje. Tak to jest — i musi.

Pietrek leży i przed sobą ma całą tę swoją dolę. Rozpatruje ją starownie, czy niema jakiego wyjścia i sposobu poręcznego do obrony przed znistą. No, cóż? Należy oddać, co się powinno. Tak, powinno. „Święte prawo — podatek" — siedzi mu w myśli pod wtór tych słów panka z urzędu. Mądrze powiedziane, bardzo mądrze. Salamon ze świętą Michaldą pospołu nie byłby mądrzejszy. Bo i Salamon z pustego nie naleje. To trza inaczej spróbować. Chyba tam na wysokich urzędach siedzą ano miłosierni ludzie, co wyrozumią, uwzględnią, ułatwią. On już im tak zdatnie wszystko życie rozpowie i zaświadczy, że wybaczą mu jego opieszałość, rozłożą dług na raty, a może i zwolnią jakim sposobem. Przecież to jego podymne nie jest dla nich wielką liczbą znowu, ale dla niego jest powinnością niepodźwignioną. Zradzić naraz nie zradzi.

Z weselszą miną podniósł się teraz właśnie na posłaniu. W ogrązce wyskoczył na ziemię i zaczął wzuwać buty. Wrychle już był gotów.

— Ty, słysys? Ładuj śniodanie — popędza babę, żeby było skorzej.

Już i dzieckowiny piszczą w łóżku i skamlą o jadło. Pietrkowa miesza warzęchą w żeleźniaku i podpycha wierzchnie ziemniaki ku spodowi, żeby równo doszły na sypkość. Wątły ogień kwitnie se w cyganku i wydziela siakie - takie ciepło. Klitka zapełniła się gębami, nagotowionemi do jadła.

Po chwili sześć rąk zaczęło wyciągać łyżki ku dwom obtężnim michom, pełnym ciepła i lubości. Kwaśny barszcz i grudki postnych ziemniaków znikły chyżo, jakby były zrazikami na pańskiem weselu. Łyżki skrzybotały w prędkim zamachu na piękną treść tych misek cudownych. Łyżki nanoszą radości do zziębłych ciał.

Pietrek zaczął się zbierać do drogi. Trza ano wcześniej, bo droga daleka, a dzień kusy, nieobrobny.

— Zeby ci sie chocioz udało aby — wątpi Pietrkowa i jest cała w frasunku.

— Udo sie, udo, co sie nimo udać.

— Ej, wyrwic sie to wilkowi z garła, co capnął?

— Musi sie. Juz jo podeptom za tem i trafie kaj potrza.

— Dej Boze, zeby tak było. — Kobiecinie załzawiły się raptem oczy i cosik od samego wnętrza chwyciło za gardło, że już słowa wyciągnąć dalej niesposób. Skrzylem zapaski suwa po oczach i wstrząsa się łkaniem. Kamienny ugniot legnął na myśli i czuciu tych tu wszystkich, że pomartwieli i zamilkli, nawet dziecka urwały swój gowór, jakby poczuły powagę tej oto chwili, kiedy ojciec opatrzony cieplej do drogi trzyma już za klamkę i popatruje na odchodnem po ukochanych głowach.

— Tatusiu, kup mi bułke — naprasza się najmłodsza dziewuszka.

— A mnie karmelka — zabiega druga.

— Kupie wom, roboki moje, kupie... — I już jest za progiem.

Droga kopna i ciężka w zwałach śniegu. Trzeba brnąć wśród dołów i wąwozów tam ku miastu w walnej oddali. Rozwlokła się droga przed człekiem idącym naprzeciw niewygodzie i ciężarom doli. Ale się idzie z dobrą myślą. Pietrek idzie z wiarą po tę pomyślność, co se już ją zamarzył. Idzie szorstkim szlakiem po ludzką dobroć. Po dobroć urzędu dla biednego człowieka.

Ot i miasto wypucza się wieżami kościołów i kwandrowym słupem Opatowskiej bramy. Po ulicach rozsnuwają się skulone grzbiety i podyrdują żwawo w ucieczce przed uchwytem trzaskającego mrozu, co mieszczakowi więcej potrafi zaskórzyć, anieżeli ludziom wsiowym. Pietrek prosto zdąża do urzędu. Żeby nie zmitrężyć.

Za wysokiemi prymnemi drzwiami objęło go przyjemne ciepło i prowadziło het po schodach i korytarzach. Rozpytał się jakiegoś fagasa — gdzie i jak. Stanął se pokornie w kolejce za innymi. Nieśmiało, cierpliwie czekał.

Płynie czas. Zegar tyka melodyjnie, przy okienku rozwodzą się frasobliwe to burkliwe głosy. Frasunek stoi w lęku i prośbie przed okienkiem, a zza okienka wylata twardy, groźny, oburkliwy głos. Szeleszczą papiery, zegar wydzwania miary przepłynionego czasu, przeplatają się słowa takie i owakie, przetrzebiają się zwyczajnie zwyczajne sprawy, sprawy, sprawy.

I oto już przed Pietrkiem wyłazi foremna dziura okienka i nastroszone oczy przelatują po nim w niedbałym ześlizgu.

— No, czego tam, ojciec? — W głosie nie czuć szczerej ochoty, urząd skąpi łaski i przychylności. Gderliwy głos urzędnika zastraszył Pietrka u wstępu.

— A bo jo, prose pana... — Pietrek traci odwagę i gdzie się mu gubi ułożona po drodze opowieść. — Jo przysedem prosić... Doprosom sie łaski...

Przepomógł się i bezładnie zaczął opowiadać. Że tak i tak, tak i tak, podatek, podymne, nie płacił, bo jest bez roboty i tyle ludzi ma na utrzymaniu, ale niech ino robota... I teraz w zimie, w tyli mróz, na taką biedę wzięli i zabrali to jedno ciepło i zachyłek, jakie ich tam w chałupie przytulało. To niech pan wielemożny będzie tak litościwy i uwzględni i tak zrobi, żeby zagrabione do chałupy mu wróciło, a na wiosnę może strafi się robota, to wtedy odda należytość doimentu, do grosika.

Biurkowy pan słuchał se niedbałem uchem i obojętnie patrzył niewidzącemi oczami. Chyba nie raz i nie dwa nasłuchał się takich żalów i biedzeń, bo na gładkiej twarzy wylegiwał się mu spokój niezamącony.

— Nic wam, człowieku, nie poradzę — huczał zimnym głosem. — Takie jest prawo, ja prawa dla was nie odmienię. I ja tu nic nie mam z wami do gadania, idźcie do pana naczelnika, on będzie mógł z wami załatwić.

Do naczelnika droga dłuższa i cięższa anizeli ta, tkórą przemierzył ze wsi do miasta. I tam i spowrotem możnaby być za ten czas, co go się psuje tem czekaniem na widzenie się z najgrubszą władzą w urzędzie. Chodzą za ważne drzwi różne panki i wychodzą, sytym, niebiednym ludziom taki łatwy tam przystęp i gładki, a tutaj on czeka i czeka w upartej woli i wyglądania na swój czas. Chyba to już hola po południu, bo ssie go namolnie głód.

Nareszcie roztwarły się drzwi dla niego i fagas oznajmił:

— Pan naczelnik dzisiaj już nie przyjmie nikogo. Kazał przyjść pojutrze.

Pietrek bez słowa zwlókł się z urzędowych komnat. U nóg jakby mu srogie żelaza kto uwiązał, tak ciężko obracały się w powolnym chodzie po ulicy. W głowie nic ino ból i w piersiach ból i w całem rozchwierutanem ciele jakby żywej treści zabrakło.

W mieście błyszczą się już latarnie, zapadł się chybko krótki zimowy dzień. Pietrek wlazł do sklepu, kupił se kawałek chleba i parę bułek dla dziecek. Zapalił cymbołka i poszedł w mrok przedmiejski i dalej drogą ku domowi. W skrzypocie butów, w burej ćmie chmurnej nocy kopał się naprzód zawianą drogą, krajem zawalonych śniegiem wąwozów. Minął Chwałki, przedarł się przez najtęższe wąwozy pod Sucharzowem i wszedł na Równia ocińskie. Jeszcze tylko spuścić się z gór Roleńskich i zaraz pierwsze chałupy Ocinka.

A nogi coraz cięższe, siły coraz ustają. Pietrek — ledwie się ciągnie. Idzie teraz skrajem Roleńskiego Dołu, a w oczach ćmaga, nogi się rozsnuwają, kroki utykają.

Krok — i Pietrek czuje, że pod nogami nie ma wcale gruntu. Błyskawicą mignęła mu jeszcze myśl, że leci gdzieś wdół, krzyk „o Jezu" i nagły ból wtyle głowy.

A potem już nic — i tylko bura noc ponad światem i śniegi nieobeszłe i mróz. Trzaskający mróz.

Janusz Kawecki

Pieśń wiosenna

Z „Koła pór roku" („Ritusanhara") Kalidasy

Spojrzyj, o ukochana: —. Wiosna! —;
Miłość, rycerz wdzięczny,
za łuk chwyta,
napina zamiast cięciwy
girlandę pszczół,
a kwietna gałąź mangowa z ostremi pąki
grotem mu służy.
Godzi w serca,
które zbudziła tęsknota.

Wiosna, czarodziejka, wszystko wypiękniła:
zielona wić w kwiatach,
wody błękitne, lotosem usiane,
niewiasty słodkie, wonne wiatru tchnienia,
wieczory lube i ranki czarowne,
klejnotnie błyszczy zwierciadło jeziora.
Zaś jasnych roje niewiast, jak księżyce —
gną się drzewa, oprószone kwieciem.

Żądzą rozkoszy
oddycha nawet to, co nie jest żywe:
perły, które drżą na piersiach
wonnych sandałem,
betel na wargach
i przepaski na niewiast niespokojnem łonie!

Akosy przędze lekkie i powiewne,
szafranem barwione,
stroją piersi.
A dukula kraśna
w olejkach Kusumby
nęcąco uda przesłania foremne.

Godzina miłości! —:
trwa upojenie,
perli się pot na licach niewieścich,
rozjaśnionych barwiczką,
podobnym płatkom lotosu.

Gdy kochankowie się ukoją
i w słodkiej padną klęsce przy niewiastach nagich,
— niesyte pieszczot
dla nowych płoną rozkoszy.

Osierocone, opuszczone
przez małżonka,
drżące, i blade, i wiotkie
wiją się w męce jeno i wzdychają.
Miłość, duch bezcielesny,
zarzewiem takiem trawi ciała
niewiast, które nas upajały.

Różnemi budzi się w nich kształty:
mąci źrenice z pragnienia omdlałe,
czyste jagody powleka bladością,
podnosi piersi,
łono kołysa
i uda zwiera,
pręży ramiona do uścisków,
niewieści głos napełnia drżeniem
i patrzy w oczy, przysłonięte brwiami,
rozkosz ślubujące i płochliwe.

Młódki, osłabłe od kochania,
znowu mieszają piżmo z sandału olejki
i piersi
barwią ładnie szafranem, kaligaką białą.
Kochankowie
skwapliwie ciężki strój z siebie zrzucają
i kładąc lżejszy,
sokiem pieprzowca nacierają ciało,
agury czarnej,
która odurza wonią.

Kokili samczyk, luby kwiatom,
mangową upił się oskołą
i płatki kwiatu całuje namiętnie,
jak się całuje usta niewieście.
Pszczoła, lotosu kochanka brzękliwa,
całuje płatki swojego miłego.

O ukochana, o porywająca! —:
oto godzina, co w sercu niewieściem
zapala nowe pragnienia
i nowe żądze, rozszumiałe wiosną,
jako mangowce, któremi wiatr chwieje,
od czerwonego pąkowia ugięte.

Akosa, którą zwą beztroską,
z kwiaty i pędy swojemi
szkarłatna,
w niewieścich sercach niespokojnych
troskę zasiewa.
Napoły rozkwitła srebrna Atimukta,
zaloty pszczelemi omuśnięta,
wiatrem ukołysana,
ogień zażegła w mężów sercu głośnem.

Spojrzyj: kochanek porzucony:
— patrzy na gęstwę Kurawaków,
na owoc świeży, woniejący,
różany, jak najmilszej lica,
i oto jego duch omdlewa,
tęsknotą jęty,
sięgnięty strzałą wszechwładnej miłości.

Spójrz miła: wiosna triumfuje:
krzew koralowy — zarzewie,
bugaj Kinsuków pod kwiecia brzemieniem,
ziemia — oblubienica
szatą się zdobi przewspaniałą.

Więc czyjeż serce nie zapłonie
z Kinsuków pospołu kwieciem,
podobnem piór tęczy
papuzich?

O miła moja, której głos, jak złoto: —
I któż się oprzeć zdoła,
kiedy do kwiatów czarodziejstwa
słodki się łączy śpiew Kokili,
co upojenie sączy w duszę?

Zawsze Kokili pienie czarowne
do szału ludzi poduszcza,
do poufałości miłosnej serca budzi senne,
gdy wstydu niepomne
kochanki płoną
i czekają płonące
w głębi ogrodów.

Wiatr zgina kwietne gałęzie Sahakar,
rozprasza ptaki
i myśli rozprasza,
tchnie, i ucieka, i pierzcha szczęśliwy,
że niema zimy, że dnie jasne przyniósł

A kiedy bugaj zaklęty,
jaśminem zasuty białym
jak białe są ząbki szmieszki-oblubienicy;
niepokój budzi w duszy pustelnika,
mająż mu oto nie ulec
dusze grzeszników?

To miesiąc Madhu! —:
brzęk pszczół,
ptaków świergoty,
zachwycające wzgórza w wieńcu kwiatów,
łąki, gdzie dzwoni Kokila wesoła,
niewiast przepaski złote, napierśnice z pereł!
— Nie opieraj się, serce!

Wiosna w zawody z niewiastą:
śpiew ptaków — dźwięk doskonały
głosów niewieścich,
przepych jaśminu — ząbków biel,
a koralowe róże pąków —
paznokci róże niewieścich!

Świętego pustelnika moc kochania zegnie..
...Korowid go mija:
niewiasty o licach, jak pozłotne lilje,
o piersiach wonnych olejki sandału,
o spojrzeniu czułem,
które o wielkiej mówi namiętności.
Powiedz, o święty:
nie godneż zachwytu
wargi, jak lotos pachnący,
oczy błyszczące gwiazdami,
kędziory ciężkie w Kurawaki wiązkach,
dziewicze piersi i kształty powabne?

Goreją męże i drżą
z każdym powiewem od lasów mangowych,
z każdym pszczół brzękiem, upojną melodją,
i z każdym trelem słowika.

O nocy słodka!
o jaśni księżyca!
śpiewy słowicze!
pszczół brzęczenia!
tchnienia wonne!
— sojusznicy miłości,
młodego boga,
co walczy kwiatami!

Niechaj ci szczęście przyniesie
wiosna,
maj Kamy
lotosolicej
o ząbkach jaśminnych —
wargach, jak kruże Akosy!

...Gdy brzęczą pszczoły
gdy rozkwit mangowców
odurza wonią...

Kwiecień, 1934.